



POZNAŃSKA  
SPÓŁDZIELNIA  
MIESZKANIOWA

PSM  
POZNAŃ

# PROTOKÓŁ

## k u l t u r a l n y



Nr 67 Rok XX ISSN 1506-1833 Poznań 2018

## Barbara Kęcińska – Lempka

Zapiski książkowego mola

### Marks w „Pudelku”

*„Przepelniała go tak wielka troska o ludzkość,  
że zabrakło jej dla najbliższych.” (zasłyszane)*

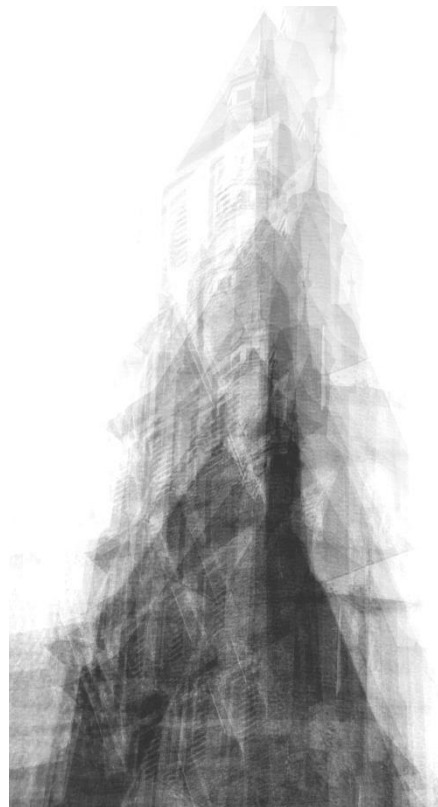
Czytelnicy kulturalnej prasy zapewne nie zniżają się do czytania „Pudelka”. Wielu może nawet nie wie, że „Pudelek” to internetowy portal zamieszczający sensacje i plotki z życia celebrytów i gwiazd. Można zachłysnąć się wiadomością, że aktorka C powiększyła sobie biust i usta, a piosenkarka B. myśli o poddaniu się procedurze in vitro. Zwierzenia oczekają ekshibicjonizmem i brakiem zahamowań. Każdego, kto choć raz poznał doniesienia „Pudelka”, oburzy zamiar umieszczenia tam autora „Kapitału” - komunistycznego świętego, którego nazwisko przez dziesięciolecia nie schodziło z ust rewolucjonistów, a nawet towarzysz Stalin zawiesił na biurkiem jego portret. Po przeczytaniu relacji z niedawnych, hucznych obchodów 200 - lecia urodzin Marksa czuję się w pełni uprawniona do takiego potraktowania „filozofa z Trewiru”. Uroczystości objął swoim oficjalnym patronatem prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier, a europejską pieczęć obchodom nadał sam szef Unii Europejskiej Jean-Claude Juncker. Nie ograniczono się do odsłonięcia w reprezentacyjnym punkcie Trewiru (miejsce urodzenia Marksa) ponad pięciometrowego pomnika, ale całe miasto zasypano marksowskimi gadżetami: sylwetka Marksa na ulicznych sygnalizatorach; w sklepach i na straganach z pamiątkami gipsowe popiersia Marksa, zawieszki z Marksem, Marks na puszkach z napojami, na kubkach, na torbach. Można kupić nawet kruche ciasteczka w kształcie Marksa i pluszowe kaczki ucharakteryzowane na Marksa z gęsim piórem w łapie i „Kapitałem” pod skrzydłem. Brakuje jedynie pościeli i poduszek z filozofem, by można się było tarzać w Marksie. Skoro Niemcy traktują Marksa jak celebrytę, też go mogą tak potraktować i, niczym w „Pudelku”, opisać jego życie prywatne, nie pomijając osobistych sekretów i wstydliwych tajemnic (niechęć do higieny, nieślubne dziecko, bezwzględne traktowanie przyjaciół i rodziny).

Druga przyczyna zagłębiania się w prywatne życie Marksa jest znacznie poważniejsza. Jak żył ten, który pouczał ludzkość, jak ma żyć? Jakim był człowiekiem? „Potężne dzieła intelektu nie wyłaniają się z abstrakcyjnych działań mózgu

*i wyobraźni, są one głęboko zakorzenione w osobowości” - pisze Paul Johnson, znany angielski historyk i dziennikarz, w książce „Intelektualiści”. Ukazanie się książki okrzyknięto „czarnym dniem intelektualnych awanturników”, a sam autor w pierwszych słowach wstępu opisał zawartość dzieła: „Książka ta zajmuje się badaniem moralnych i zawodowych roszczeń niektórych czolowych intelektualistów do udzielania rad ludzkości, jak ma kierować swoimi sprawami. Starałem się opierać na faktach i pisać bez emocji, a jeżeli to było możliwe, korzystałem z dzieł, listów, dzienników, wspomnień i wypowiedzi tych, których postacie omawiam”.*

Wśród wielu części poświęconych twórcom projektującym „nowy wspaniały świat”, znalazłam rozdział o Karolu Marksie zatytułowany „Miotając klątwy odwieczne” i na nim oparłam się w niniejszych zapiskach. Autor obficie cytuje dokumenty, listy, pamiętniki współczesnych Marksowi - rozdział zawiera obszerne przypisy i bibliografię.

Większość wyedukowanych „w komunie” zapewne kojarzy Marksa z „Kapitałem” i Engelsem. O życiu filozofa wie niewiele.



Karol Marks urodził się w 1818 roku w Trewirze, który wówczas należał do Prus. Jego ojciec Henryk, prawnik był synem rabina i badacza Talmudu, matka też pochodziła z ortodoksyjnej żydowskiej rodziny. Ojciec Marksa mimo pochodzenia był liberałem. Nie miał więc oporów, by przejść na protestantyzm i ochrzcić sześcioro swoich dzieci (także Karola). Zmiana religii spowodowana była pruską ustawą z roku 1816 zakazującą Żydom dostępu do wyższych stanowisk w korpusie prawniczym i medycznym. Marks uczył się do jezuickiego gimnazjum, kontynuował naukę na Uniwersytecie Berlińskim, uzyskał doktorat z filozofii na Uniwersytecie w Jenie. Był niespełnionym poetą – w młodości pisywał wiersze. Ich przewodnim tematem (oprócz miłości do Jenny von Westphalen, z którą się później ożenił) było zniszczenie świata. Poetycką twórczość Marksa cechuje dziki gniew, nienawiść, fascynacja zepsuciem i gwałtem. Bardzo lubił cytować słowa Mefistofelesa z „Fausta” Goethego - „Wszystko co istnieje zasługuje na zgubę”. Z tej nienawiści Marks nigdy nie wyrósł i całe życie, w swoich naukowych pracach, miotał kłątwy na ludzkość, na religię i nawoływał do radykalnych zmian społecznych wszystkimi możliwymi środkami (z przemocą łącznie). Źródło filozofii Marksa tkwiło w wizji poetyckiej, którą przeniósł do swoich dzieł – dlatego tak urzekał radykalnych czytelników. Z podobną nienawiścią Marks odnosił się do swoich oponentów. Nie uznawał jakiegokolwiek dyskusji - na argumenty poddające w wątpliwość niektóre jego tezy odpowiadał gniewem i zrywał wszelkie kontakty z osobą, która ośmieliła się myśleć inaczej niż on. Obrażał się o jakąkolwiek krytykę – obrzucał obelgami swojego rozmówcę i krzyczał: „Ja cię zniszczę!”

Tak scharakteryzował Marksa policyjny agent: *„Dominującym rysem jego charakteru jest bezgraniczna ambicja i ukochanie władzy... jest absolutnym władcą swego związku, robi wszystko sam, wydaje polecenia na swoją odpowiedzialność i nie znosi sprzeciwu.”* By nie opierać się wyłącznie na policyjnych raportach, przytoczę słowa jego najbliższych przyjaciół: *„Marks nie wierzy w Boga, wierzy bardzo w siebie i tak działa, by służyć mu każdy. Serce jego nie jest pełne miłości, ale goryczy i żywi ona bardzo mało sympatii dla ludzkiej rasy.”* (Michał Bakunin - rosyjski rewolucjonista). *„...jeśli jego serce dorównało intelektowi, a miałby on w sobie tyleż miłości co nienawiści poszedłbym w ogień dla niego. (...) Brak mu jednak szlachetności ducha. Jestem przekonany, że całe dobro zżarła w nim najbardziej niebezpieczna osobista ambicja... Zdobycie władzy jest głównym celem wszystkich jego wysiłków.”* (Gustaw Techow - współpracownik Marksa)

Marks kierował nienawiść najpierw do lichwy i lichwiarzy, a potem do burżuazji, którą uznał za czynnik społecznego zła. Ta wrogość wynikała w dużej mierze z jego trudności finansowych i nieumiejętności gospodarowania pieniędzmi. Rodzina Marksa (w 1843 roku ożenił się z Jenny) tonęła w długach, zastawiała w lombardzie wszystko, nawet rodowe srebro żony. Nigdy nie mieli pieniędzy, mimo że Marks odziedziczył po rodzicach spory majątek, a pochodząca z arystokratycznej rodziny Jenny wniosła do małżeństwa znaczny posag. Marks potrafił przepuścić każdą sumę – domagał się wtedy

pieniędzy od rodziny, przyjaciół i znajomych. Matka Marksa zgniewana ciągłymi finansowymi żądaniem mawiała, że lepiej by Karol zbierał jakiś kapitał zamiast tylko o nim pisać. Rodzina Jenny w pewnym momencie odmówiła finansowania zięcia, mając go za nieroba i próżniaka. Marks w całym swoim życiu tylko raz starał się o stałą pracę – była to posada urzędnika kolejowego, niestety wniosek odrzucono z powodu złego charakteru pisma. Przeprowadzali się wielokrotnie, w roku 1849 na stałe osiedlili się w Londynie. Tam Marksów wyrzucono na bruk za niepłacenie czynszu. Rodzina miała wtedy już czworo dzieci Jenny, Laure, Edgara i pięciomiesięcznego Gwidona. Marksowie znaleźli schronienie w internacie i tam zimą mały Gwido zmarł. Drugi ukochany syn Marksa, Edgar umarł na nieżyt jelit. Rodzicom pozostały trzy córki Jenny, Laura i Eleonora (czwarta dziewczynka, Franciszka zmarła jako niemowlę)

Londyńskie mieszkanie Marksów opisano w policyjnym raporcie:

*„Marks prowadzi życie cygańskiego intelektualisty. Rzadko się myje, czyści ubranie, zmienia bieliznę, często jest pijany(...). Nie chodzi spać ani nie wstaje o stałej porze. Często nie idzie spać przez całą noc, a później w południe kładzie się w ubraniu na sofie i śpi do wieczora i nie przeszkadza mu ruch kręcących się po pokoju. Nie ma ani jednego czystego i solidnego mebla. Wszystko jest połamane, w strzępach i porozrywane, pokryte kurzem na pół cala. W środku salonu stoi szeroki staromodny stół przykryty ceratą, na której leżą rękopisy, książki i gazety razem z ubraniami dzieci, kawałkami płótna i szmatami z koszyka do szycia jego żony, kilka wyszczerbionych filiżanek, noże, widelce, lampy, kałamarz, chińskie figurki, holenderskie gliniane fajki, tytoń, popiół... Właściciel sklepu ze starzyzną byłby zawstydzony, gdyby musiał rozdać tak osobliwą kolekcję bez ładu i składu. Gdy się wchodzi do pokoju Marksa zapach tytoniu wyciska z oczu łzy... Wszystko jest brudne i pokryte kurzem, tak że usiąść nie można bez ryzyka. Jedno z krzesel ma tylko trzy nogi, na drugim dzieci bawią się w gotowanie. To drugie ma, jak się zdaje, cztery nogi, więc podstawia się je gościowi, ale po gotowaniu dzieci nie sprzątnięto, i jeśli się usiądzie, ryzykuje się czystość spodni.”*

Sytuacja rodziny poprawiła się w roku 1869, kiedy Engels sprzedał swoją firmę i zapewnił Marksom stały roczny dochód. Mogli wynająć dom w eleganckiej dzielnicy i zatrudnić służbę, ale nawet jeszcze wtedy domagali się od Engelsa dodatkowych środków.

*(Dokończenie w następnym numerze.)*

---

*Barbara Kęcińska-Lempka jest poetką, prozaikiem i dziennikarką od lat związaną z Klubem Literackim i „Protokołem Kulturalnym”. Czynna pisarka i publicystka demokratycznej, solidarnościowej opozycji w Poznaniu. Represjonowana za swoją aktywność w stanie wojennym utraciła możliwość pracy w mediach. Sentymentem i piórem związana z poznańskimi Jeźycami, stąd i niezwykle śródowiskowe reportaże czekające na swojego wydawcę.*

**piąty element**

otacza mnie pustka  
boję się oddychać

mój niedoskonały organizm  
mógłby zakłócić równowagę tego świata  
woda powietrze ogień ziemia  
biel i czerni dobro i zło - idealna  
równowaga  
i ja – piąty element  
między światłem i cieniem  
krucha śmiertelna Kocham życie  
choć boję się żyć

**trzeba**

trzeba słuchu dotyku  
wzroku smaku i węchu  
zmysły rozbudzić  
zmusić do życia  
niewiedza jest w tym  
jak i w innych przypadkach zresztą  
błogosławieństwem  
trzeba wiatru lekkiego  
i promieni słońca  
letniej burzy w dzień parny  
skrzydeł u ramion  
ciepła dotyku  
  
trzeba cierpieć

---

Weronika Materkowska – ukończyła Wydział Fizyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Doktorantka i pracownik dydaktyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Obecnie pisze pracę naukową z fizyki cząstek elementarnych. Wiersze – od czasów szkolnych. Swoje poezje publikowała w portalu internetowym [www.poezja.org](http://www.poezja.org), w „Rzeczpospolitej Dolnośląskiej” i „Protokole Kulturalnym”. Interesuje się muzyką, filmem, otaczającym światem.

**Dzień dobry człowieku**

Masz tyle imion ile razy budziłeś się na nowo,  
Przekroczyłeś granice wytrzymałości.  
Z przymusu, z zakazów, z nerwów, z bezsily,  
z głupoty, z nudów, z bezsensu...  
Jak sobie radzisz?  
U mnie po staremu.  
Teraz inspirują mnie chmury.  
W kółko robią to samo,  
wciąż kreatywnie.  
Płyniemy sobie razem między wierszami.

\* \* \*

Jestem niezmienna.  
Piszę jak córka do matki.  
Teraz to widzisz,  
po co patrzeć sobie w oczy.  
Łzy otarłam o śmierć z miłości.  
Teraz śpię spokojnie i już jest takich więcej.  
Zaufałam Mu, płodzimy dzieci jak bratki.  
Czy mądra sama oceń.

**Kobieta z liściem**

Rozrzutność myśli i uczuć  
Upadła na ziemię jak skała  
Ogrzewa ją swoim ciałem  
Podlewa łzami  
Wgryzła się w ziemię  
Zapuszcza korzenie  
Staje się drzewem  
By mieć wiatr we włosach

---

Edyta Wilczewska – urodzona poznanianka od 35 lat. Trzykrotna finalistka konkursów w sieci Trendy Hair Fashion. Z zamiłowania romantyczna stylistka fryzur ślubnych i kolorysta. Na co dzień zwykły fryzjer „do rany przyłóż i zapomnisz o wszystkim”. Gdy zamilknie w locie, wiersze obmyśla wieczorem, czyta synkowi bajki, potem do późna je spisuje i rozprasza męża. Niedzielami uprawiają razem ogródek. Studiowała w WSNHiD pedagogikę i odtąd wie jak postępować z dziećmi.

## Przygodna rozmowa

Spośród wielu poznanych podróźnych ocalał w pamięci niecodzienne imię Alfredyna należące do urodziwej pani o platynowych włosach i bystrym spojrzeniu brązowych oczu. Zaprosiła mnie do stolika, gdy w Katowicach podczas przesiadki na Poznań rozglądałam się za wolnym miejscem, by wypić poranną kawę. Przeziębiona, nieskora do rozmowy, trzymałam się na uboczu, lecz gdy usłyszałam przyjazne słowa, chętnie zatrzymałam się w otwartej na hol kawiarence, gdyż w głosie nieznaną zabrzmięła matczyna troskliwość. Było to zainteresowanie bezpieczeństwem mojej walizki, co nieczęsto zdarza się w podróży.

– Niech pani postawi ją tu, przy ścianie, a nie w przejściu, gdzie wszyscy przechodzą – nieznajoma zwróciła się do mnie serdecznie i stanowczo, gdy podchodząc, powiedziałam „dzień dobry”. Zapytałam, czy czeka na kogoś i czy moja obecność nie będzie jej przeszkadzać. – Skądże, już kupiłam bilet – odrzekła z uśmiechem – za miesiąc wyjeżdżam na kurację do ulubionego Iwonicza, a bilet kupiony z wyprzedzeniem jest tańszy. Jej talerz był już pusty, leżała na nim serwetka i okruszyny po zjedzonym śniadaniu. Miałymy kwadrans, może nieco więcej na przygodną rozmowę.

Ujęła mnie życzliwość nieznanego osoby, więc z zainteresowaniem usiadłam naprzeciw niej, trzymając w ręce kawowy kubek udanie wystylizowany na filiżankę. Podziękowałam za zaproszenie z uśmiechem i dodałam, że potraktowała mnie z kresową gościnnością, a ja to cenię, bo właśnie w kulturze domu dawnych Kresowian zostałam wychowana. Wtedy nieznajoma poruszyła się, przez jej twarz przebiegł skurcz, jakby nagle coś sobie uprzytomniła. Trwała w unieruchomieniu dłuższą chwilę, aż w końcu odprężyła się, odechnęła dwukrotnie, powstrzymując napierającą falę emocji i powiedziała przyciszonym głosem, wydobywanym z głębin zachowanych wspomnień, a więc pokładów najcenniejszych, choć jednocześnie niezmiernie dotkliwych: – Znam Sybir, pracowałam w kopalni Workuta prawie 13 lat, udało mi się uzyskać wolność i wrócić do Polski dopiero w połowie 1956 roku.

A zatem przeżyła deportację do kopalni węgla za koło podbiegunowe w północno-syberyjski klimat. Jak młodej dziewczynie udało się przetrwać tyle lat katorżniczej pracy w ekstremalnych warunkach? Nie śmiałam wypytywać o jej dzieje ani o nazwisko, gdyż wspomnienie deportacji i zniewolenia dla byłych więźniów bywa zwykle żarliwe, lecz trudne, często wątek zostaje przerwany, a zdanie w pół wypowiedziane nagle zawieszono. Pani Alfredyna jednak chciała podzielić się swoją historią z kimś, kogo nie zna i kogo już pewnie nigdy nie spotka – mówiła dla prawdy historii, dla uroku młodości, choć bolesnych wspomnień. Rany być może już się zabiły, więc nie pytając mnie o nazwisko, zaczęła mówić również dla radości spotkania w podróży, którą jest życie, bo opowieść losu łączy ludzi, daje nadzieję zrozumienia świata i swojego w nim miejsca.

Siwa pani podkreśliła, że lubi swoje niezwykle imię Alfredyna. Powtórzyła je kilka razy, żebym nie pomyliła z Albertyną, najwidoczniej dumna z tak rzadkiego imienia. Została zatrzymana przez NKWD w Stanisławowie, gdy rodzina i sąsiedzi opuszczali miasto w obawie przed kolejnymi aresztowaniami i wywózkami na Sybir. Był rok 1943, chciała zabrać jeszcze album ze zdjęciami i pobiegła boczną uliczką do opuszczonego domu, a wtedy nadeszli Sowieci i zaaresztowali dziewczynę, załadowali razem z innymi w bydłce wagony i skazali na wiele lat przymusowej pracy w kopalni Workuta.

Spod rękawów beżowej pikowanej kurtki uszytej w modnym stylu wystawały spracowane ręce, stawy palców były mocno zniekształcone i obrzmiałe od ciężkiej fizycznej pracy, jednak zadbane i starannie pomalowane lakierem paznokcie w śliwkowej tonacji, podobnie jak szalik oplatający szyję, świadczyły o dobrym guście i dość dostatniej egzystencji mojej rozmówczyni.

Kiedy Alfredyna mówiła, lekko potrząsała głową, falowane włosy spadały na czoło, ale ich nie odgarniała, pochłoneła ją opowiadana historia wdzięczności dla tego, który ocalił jej życie w sowieckim łagrze. Był to porzucony przez leśną sforę szczeniak z dzikiego stada, mały wilczur potrzebujący jeszcze opieki. Zauważyła go kwilącego w rowie, gdy o zmroku wracała w grupie z niewolniczej pracy, ledwo powłócząc nogami, poganiana przez strażnika. Znalazła w sobie nagle dość siły, by niepostrzeżenie skoczyć w bok – schyliła się szybko, wzięła szczeniaka pod pazuchę roboczego łachu i zabrała do baraku.

Mieć własnego psa w okrutnym świecie komunistycznego łagru, gdzie człowieka ograbiono z wszystkiego, co miałoby jakąkolwiek wartość, to był dar i znak przetrwania. Szczeniak otrzymał imię Bert. Z początku karmiony był okruszynami chleba i maseczką mleka od mieszkającej w pobliskiej osadzie rosyjskiej rodziny, a gdy podrośł, wypuszczano go w las i wracał z upolowanym zajęciem, którym dzieliły się więźniarki w baraku. Alfredyna spała na pryczy wtulona w futro Berta, psia przyjaźń dawała dziewczynie nadzieję, nie pozwalała się poddać. – Bert, miał na imię Bert, był szaro-biały, ciepły i wierny, współczujący, lizał moje pokaleczone w kopalni ręce i nogi, posłuszny, bardzo posłuszny – powtarzała przywołując dawne chwile.

Nie śmiałam naprędce dopytywać o dalsze losy starszej pani, musiałam iść na peron. Wstałam, by się pożegnać i życzyć dobrego dnia, jednak moja ciekawość była widoczna i pani Alfredyna dorzuciła pointę swojej historii: – Bert został u rosyjskiej rodziny, która pomogła mu przetrwać, nie mógł przecież jechać ze mną, nie wolno było zabierać zwierząt ze zsyłki. To był mój najlepszy przyjaciel. Gdy odnalazłam na Śląsku rodzinę, okazało się, że przetrwali wojnę, zagospodarowali się i dostosowali do warunków komunistycznej PRL-owskiej rzeczywistości. Mój kresowy zaśpiew w mowie i zbiedzony wygląd stał się dla nich przeszkodą. Nie było łatwo usamodzielniać się i przetrwać trudne czasy, ale dałam radę, jak pani widzi, jestem wciąż samodzielna.

Kawę o poranku i przygodną rozmowę z niezwykłą panią Alfredyną w dworcowej kawiarence na katowickim dworcu zapamiętam na zawsze. Kiedy obejrzałam się, by spojrzeć na rozmówczynię ostatni raz, uśmiechnęła się nostalgicznie i pomachała ręką na pożegnanie,

a później spojrzała na podłogę, w miejsce przy nodze, jakby tam mogła ujrzeć warującego Berta chroniącego swoją panią przed wszelkim złem tego świata.

---

*Teresa Tomsia opublikowała prozę dokumentalizowaną o losach Polaków deportowanych na Sybir („Dom utracony, dom ocalony”, Wyd. Poznańskie 2009), spisała także losy Wielkopolanek, które wróciły po zsyłce („Cztery Chryzantemy z Nowego Tomysła” w zbiorze szkiców „Z szarego notatnika”, WBPiCAK, Poznań 2015). Temat losu Kresowian i kresowego rodowodu autorka porusza też w książkach poetyckich: „Gdyby to było proste”, „Kobieta w kaplicy” (Biblioteka „Toposu”, Sopot 2015; 2016).*

## Stefan Pastuszewski

\* \* \*

tacy bezradni jesteśmy wobec swego ciała  
jak wobec widoku za oknem  
jak wobec słońca i ziemi  
gorzej, bo widok można przysłonić firaną  
a nawet dom zamienić  
a ciało?  
ono nam towarzyszy ciężiej niżli cień  
nie zależy od słońca  
do ziemi wprowadzie się klei  
ale można też latać  
latać tylko z nim  
i to ono katastrofy Ikara jest przyczyną  
i innych katastrof  
na przykład gdy zaśnie za stołem  
prezydialnym  
lub zgnije  
jakże bezbronni jesteśmy wobec tej kruchości  
kształtu i wagi  
zapachu, barwy i smaku  
musimy je pilnować  
i cierpliwie znosić ich narowy  
pasterzami jesteśmy  
a ono owcą lub krową  
wieprzem bywa  
królikiem i kozą  
kogutem gdy mężczyzna  
kokoszka gdy kobieta, co się rozkosznie  
kokosi  
bo jeśli chcemy żyć  
musimy je karmić i pić  
a jeśli nie chcemy?  
ono tak bardzo chce  
że budzimy się zamiast spać bez końca kiedy  
jest źle  
ono nie wie co dobre a co złe  
ono po prostu jest  
póki jesteśmy

## Zbigniew Gordziej

### Do Jerzego Giedroycia

Szanowny panie Redaktorze  
pytania o lata dzieciństwa wywołują uśmiech  
dlatego zapytam  
Czy leżenie na torach wzdłuż  
pod jadącym pociągiem w Mińsku  
było bardziej zabawą popisem  
czy wsłuchiwaniami się w mowę białoruskich  
szyn?  
A skoro o młodości mowa – dzisiaj  
narkotyzują się amfetaminą  
nie tak jak Pan karmelkowym zapachem  
prochu z gilzy  
Przeczytałem „Braci Karamazow” i „Nagi rok”  
– dobre  
utwory Tomasza Manna większego wrażenia  
na mnie nie zrobiły  
Zazdrość spotkań w klubie Domik w  
Kołominie  
szczególnie rozmów z Czapskim  
także czytania Ibsena u Boya Żeleńskiego  
to nic że na niewygodnych meblach projektu  
Wyspiańskiego  
tym bardziej że podawano likier różany  
Nie warto przejmować się określeniem  
późniejszego noblisty  
który nazywał Pana „uczynnym radcą z  
Ministerstwa Rolnictwa”  
mógł mieć dobroduszne intencje  
Ciekaw jestem gdzie z Broniewskim na wódkę  
chadzaliście?  
chętnie poszedłbym waszym śladem  
Wzruszyła mnie informacja o kozuchu dla  
Mieroszewskiego  
sprowadzonym z Polski  
na kilka miesięcy przed jego śmiercią  
także maska pośmiertna Czapskiego  
Zamierzam przeczytać „Drogę do  
Urzędowania”  
interesuje mnie postać Kupścia-Massalskiego  
Z ogólnym zarysem Pańskiej wizji Polski  
zgadzam się  
ale przecież diabeł tkwi w szczegółach  
*Do Maisons-Laffitte nie pojedę*  
nie nawiedzę domu przy avenue Corneille  
tam nie ma Gospodarza  
spotkamy się na skraju  
nieziemskiej połoniny

## Bangladesz

Cały dzień siedzieć dla paru klientów – coś tu nie tak. Chyba przeceniłem sytuację. Mam wrażenie, że tych parę osób, które raczyły zaglądnąć do galerii przyciągnęła zwykła ciekawość ludzi, którym ktoś w środku ich osiedla postawił sklep z jakimś tam rękodziełem artystycznym. Na dodatek jeszcze ta dziwna nazwa - Kantor Rękodzieła Artystycznego „Manus”, która zrobiła niemałe zamieszanie w głowach tym, którzy wpadli do mnie z wiarą, że wymienią bądź kupią walutę, klasyczne *qui pro quo*.

Zbliżał się upragniony fajrant, w radiu zaczęli nadawać blok informacyjny o gospodarczych przemianach. Zaciekała mnie szczególnie ta informacja o tym jak rodzi się uliczny handel w przygranicznych miejscowościach Nadodrza i Nysy Łużyckiej. Jego egzotyczny, orientalny charakter już od samego początku nadawali licznie przybyli do Polski Bułgarzy tureckiego pochodzenia. Zważył ich widocznie kupiecki instynkt, typowy dla rejonu ich pochodzenia, gdzie niejedną już wielki bazar założyli.

O tym wszystkim opowiadał z zapartym tchem radiowy dziennikarz, który co tylko zjechał z granicy, pozostawiając już tam kolegę po fachu. Ów kolega zajął właśnie miejsce na chodniku na dwa połowe łóżka, schował głęboko legitymację dziennikarza, podwinął rękawy i z nadzieją na lepszy los, oczekiwał na pierwszych klientów z przygranicznych miejscowości niedawnego NRD. Pomyślałem sobie, że coś musi być na rzeczy. Nie ma co za „galernika” robić, tylko pakować te landszafty w auto i gnać na granicę. „Dederuskie” otrzymali przecież te dobre marki i w tym właśnie to całe sedno.

Jak pomyślałem, tak też i zrobiłem. Po krótkiej naradzie z żonką zacząłem ładować towar z niezbędnym łóżkiem i stolikiem turystycznym. Pełen nadziei, że wywalczę te cztery metry bieżące chodnika / lady/, aby wyłożyć artystyczne luksusy niekoniecznie pierwszej potrzeby. O trzeciej w nocy ruszyłem do Słubic – bo najbliżej.

Jak się okazało, nie tylko ja tej nocy wyjechałem na szlak rodzących się jak grzyby po deszczu nadgranicznych bazarów.

Po drodze mijalem, albo mnie mijali. Ci drobni handlarze, podobnie zresztą jak i ja, chcieli rozegrać swoją życiową partię.

Te pierdzące maluchy, poldki, fiacjory, skrzyniowe Żuki, Nysy – sunęły na zachód do swojego Edenu. Ich kierowcy już w tym momencie stawali się członkami wielkiej wspólnoty pionierów polskiej transformacji gospodarczej. Przyszłymi sprawcami gospodarczego boomu na ziemiach odzyskanych i nie tylko.

Wjechałem do Słubic, gdy ledwie zaczęło świtać, a gwar już tu jak w poczekalni dworca głównego w Kalkucie. Samochód przy samochodzie, blokują skutecznie dostęp do trotuarów od frontu. Na chodnikach spięte łańcuchem połowe łoża nie dają specjalnych szans dla nowych podmiotów gospodarczych. W powietrzu unosił się swąd palonych kartonów i fetor gówna podlewanego suto moczem. Każde dobre handlowo miejsce miało już swojego wartownika, który gotów był

siekierą walczyć o nie na śmierć i życie. Widać los mi sprzyjał. Lisim sprytem udało mi się wbić w trotuar i zająć swój kawałek chodnika i to w całkiem niezłym miejscu, tuż przy restauracji i społemowskim sklepie spożywczym, niedaleko głównego traktu prowadzącego do granicznego mostu. Zauważyłem zaparkowany samochód dostawczy ze śpiącym w nim kierowcą, który czekał na kierowniczkę sklepu ze świeżutkim nabiałem i chlebem.

Po rozładunku, oczekując w pełnej gotowości, szybko i sprawnie zajechałem to nad wyraz atrakcyjne miejsce. Czym prędzej ustawiłem „zaczarowany stoliczek” i składane spanko. Rozłożyłem i rozstawiłem przywieziony towar, przegryzłem śniadankiem, czekając na rozwój zdarzeń. Gdźieniegdzie słycać było awantury i szczęk usuwanego z impetem turystycznego sprzętu. Co bardziej krewcy rodacy byli gotowi pięścią wytłumaczyć Bułgarom tureckiego pochodzenia i rumuńskim Cyganom, że u siebie nie będą za Murzynami i tym razem nie będzie działało zwyczajowe prawo pierwszeństwa.

Po upewnieniu się, że nikt nie rości sobie pretensji do zajętego przeze mnie miejsca, czekałem już tylko jak „bomba pójdzie w górę”, czyli podniosą graniczny szlaban na moście i lawa zgłodniałych Dederusów popłynie ulicami Słubic. Podniesiono o 8 godzinie szlaban. Zwady, wszelkie spory natury logistycznej i infrastrukturalnej jakby zanikły. Zgłodniała szarańcza naparła na te połowe łoża uginające się od przeróżnych towarów. Każdy z nas jak ten zbój Madej zdzierał z nich markową opłatę za markowy towar, stosując przy tym cenę jednostronnie uzgodnioną regulowaną zawsze w górę. Czego tam nie było: głównie odzież z dżinsem na czele z metkami światowych producentów bezczelnie przyszytymi w rodzimych manufakturach, pierdoły gospodarstwa domowego, spżywka, RTV – AGD, kasyety magnetofonowe, papierosy też „przednich” marek, wiklina, gipsowe krasnale uśmiechające się jak końska dupa do bata, artykuły motoryzacyjne, pościele, zabawki, oświetlenie, różności z całego świata, no i ja z rękodziełem artystycznym.

Miasto już wiedziało jak złupić handlarzy. Policyjne patrole wraz z pracownikami magistratu roznosiły nam mandaty za blokowanie swobodnego przemieszczania się chodnikiem i stosownie do długości zajmowanej przestrzeni mierzonej metrówką, wręczano nam opłatę karną miast opłaty targowej. Najczęściej cena jednostkowa tej opłaty za trzy metry bieżące krawężnika wynosiła jedyne 350 tysięcy złotych, co na tamte wówczas średnie pensje w sektorze państwowym, stanowiło 1/3 tej kwoty. Niejednemu nogi się ugięły w pierwszym odruchu płacenia tego haraczu, jednak po przeliczeniu pierwszych gorących marek, jakie nie wiedzieć nawet kiedy wpadły do kabzy, opłata ta okazała się zaledwie zwykłym pryszczem.

Takich, którym woda sodowa uderzyła do głowy, było niemało. W amoku nagłego przypiływu świeżej niemałej kasiorki, łapali za kieliszki bez opamiętania, bratając się z czekającymi na okazję zastępami oprychów; złodziei, alfonsów polecających niezapomniane przeżycia erotyczne czy też zawodowych bandziorów preferujących presję bezpośredniego przymusu psychicznego jak i fizycznego w przejmowaniu gorącej jeszcze gotówki. Zamroczone alkoholem mózgi nie zawsze służyły refleksem i rozwagą pechowym kierowcom z których wielu już do domu nie dojechało.

Z początku, wielu z nas koczowało w samochodach, pilnując towaru i miejsca na chodniku. Z dnia na dzień zwiększało się stężenie mocznika w Słubicach, a wiatr rozwieszał na żywopłotach girlandy obsranego papieru toaletowego. Miastu zaczęła zagrażać epidemia czerwonki – która między innymi przyczyniła się do Cudu Nad Wisłą.

Żeby takiego cudu nie było nad Odrą, burmistrz Słubic zarządził ewakuację bazaru na nowe, wcześniej wydzielone miejsce na obrzeżu miasta przy Stadionie Olimpijskim, na którym rzekomo w 1936r. przemawiał sam Adolf. Były to planty przy obiektach sportowych, które jednocześnie stanowiły teren zalewowy. A więc wilgotno, mokro i ponuro. Nie było rady. Pod presją służb porządkowych trzeba było się tam przenieść. I znowu powtórka z rozrywki, handlarze rzucili się co sił w nogach łapać ponownie co lepsze stanowiska przy głównych ciągach komunikacyjnych zwanych tu alejkami. I tak jak uprzednio w mieście zadziały tu sprawdzone argumenty; pięści, presja psychiczna i wiele niekonwencjonalnych zachowań. Ja znowu miałem dużo szczęścia.

Zająłem stanowisko w środku pierwszej alejki, która była prestiżowa ze względu na historyczne spotkanie kanclerza Kohla z premierem Mazowieckim. Wizytowali nasz bazar w ramach uzgodnień dotyczących handlu przygranicznego i spotkali się z nami z krótką pogawędką właśnie w pierwszej alei. Jej wielką zaletą było i to, że kierowała główny strumień niemieckiej klienteli na nasze w niej stragany. Bycie w pierwszej alei było swoistą nobilitacją i może dlatego zostałem poproszony w gronie paru osób, aby tę kilkunastotysięczną społeczność handlarzy niemal z całej Polski reprezentować na posiedzeniach Rady Miejskiej. Walczyć w niej o sprawy socjalne, porządkowe i dotyczące samego handlu. Zostałem uznany członkiem Społecznej Rady Bazaru, aby skutecznie reprezentować społeczność bazarową kupców i handlarzy w przepychankach z magistratem o godne warunki naszej pracy i bytowania.

Zaczęły powstawać pierwsze konstrukcje stoisk z zadaszaniem chroniących nas jak i towar przed deszczem, wiatrem, słońcem i śniegiem. Różnego rodzaju i kształtu: budy, wiaty, kontenery, często z folii, kartonów, płyt pilśniowych, brezentu, usztywniane żerdziami, kołkami z miejscowych zagajników. Pojawiały się tak długo wyczekiwane domki – laryny, tzw. Toi-Toje, na które nalegał miejscowy SANEPID, jednak i te w zbyt małej ilości szybko wypełniły się z czubem. Przyległe zagajniki już nie wchłaniały w naturalnym procesie koła biologicznego, ich podłożem stał się nawet półpłynny. Teren był totalnie „zaminowany” tak, że niejedynemu oddział saperów był tu oczekiwany. Przyjechały garkuchnie, przyczepy campingowe o różnym przeznaczeniu, jednak nadal duża część handlarzy nadal spała w autach, dogrzewając się gazowymi słoneczkami na propan-butan. Zdarzało się, że „bomby” te wybuchały, albo podstępnie truły użytkowników. Niektórzy zdecydowali się na kwaterę, choć jej wynajem również kosztował niemało. Byłem świadkiem takich tragedii, w których nic nie dało już się zrobić. W paru punktach znanych koczującym można było kupić nocną gorzałkę z popitką za 200% ceny urzędowej u babki emerytki.

Ten sposób dogrzewania się, był praktyką często stosowaną zważywszy, że wyjątkowa zimna jesień pozbawiła nas nadziei na odrobinę babiego

lata. Nad ranem tym wspomniałem chłopakom w tych wspólnych maszynach, to prawie mocz zamarzał w pęcherzu. Dłużej nie wytrzymałem tych nocy i z paroma koleżkami po profesji wynajęliśmy kwaterę w pobliskiej wsi przy samej Odrze, gdzie miejscowe kłusowali na potęgę i przemycali papierochy do „Rajchu”.

Wówczas to już nie było ryzyka utraty stanowiska pracy, czyli zajęcia miejsca przez jakiegoś osiłka dla którego polityka faktów dokonanych jest dewizą życia. Zwykła solidarność zasiedziały po sąsiedzku handlarzy w ramach wspólnoty interesów była gwarancją, że taka aneksja była niemożliwa. Bo by go zwyczajnie wykopali na zbity pysk. Zresztą sam poborca opłaty targowej majestatem swojego urzędu był póki co gotów potwierdzić – czyje co je. Wiedział, że liczymy mu to, co na lewo wkłada do kieszeni i musiał współgrać w jednej drużynie.

Wczesnym rankiem otwierały się drzwi aut i wychodzili z nich ci, co spali nadal na placu. Otwarte drzwi uwalniały opary stęchłego powietrza, których esencją był fetor niemytego ciała. Jak na wyścigi ci „biznesmeni” zapuszczali się w najbliższe zarośla, które przypominały las namorzynowy o niepewnym gruncie, aby zdążyć z rannym udojem ciepłutkiej uryny, bądź z czymś bardziej kłopotliwym. Nad ranem poszarpane wiatrem foliowe wiaty oraz sterty ganiających papierów nastrojały fatalnie, a wszędobylskie błoto po jesiennych ulewach załatwiało to wrażenie do reszty.

Szybka toaleta, papu z puszkii – trzeba rozłożyć towar. I tu przedziwna metamorfoza – wykładany i zawieszany towar w palecie różnorodnych barw stopniowo zaczął przykrywać ten ponury krajobraz wczesnego poranka. Oczom ukazał się Kolorowy Jarmark, o którym śpiewał nostalgicznie Janusz Laskowski. Widok przepiękny - jakbym ujrzał tęczę. Ktoś głośno krzyknął - „To Nasz Bangladesz”, ze wzruszenia chciało się płakać.

W tym codziennym przemianianiu był swoisty puls życia bazarowego organizmu. Odradzał się on jak Feniks z popiołu. Powstawały pierwsze fortuny, a budżet państwa, jak się później okazało, odnotował przyrost dewiz z zagranicznego handlu.

Dederusy mogli brać bez cła ile udźwigną i zdolają przewieźć w nowych już samochodach, trampki i wartburgi porzucili na polskich parkingach z kluczykami w stacyjce, a i jeszcze pobrali za nie ubezpieczenie od kradzieży, aby nie płacić za obowiązkowe złomowanie dwusuwów.

Jestem ciekaw, co na to ci drobni handlarze zza Odry, czekający ze smutną miną na progu swoich sklepików. Ich dzieciśka czekają głodne, banki dłużej czekać już nie chcą po ostatniej prolongacie spłaty kredytów. Na pewno stoją cali wściekli z zaciśniętymi pięściami i patrzą na wschód, skąd dobiega gwar przygranicznych bazarów,

Trzeba było to jakoś ułagodzić, bo już nieraz niezadowolone z tamtej strony Odry pomaszzerowało w rytm blaszanego bębenka.

Dzisiaj bazyry te zamarły. Już się tam nie zarabia. To już nie ten euforyczny, narkotyczny handel pierwszych zagonów handlarzy, które ożywiły szarą popeegeeowską biedną codzienność na ziemiach pozyskanych.

## Andrzej Dębowski

### Bez dnia

policz  
ile zostało nam ran  
aby uwierzyć  
w całość ocalenia  
w niekończące się postanowienia poprawy  
czy chcemy wtargnąć w siebie  
i połączyć się  
w jedną konstrukcję  
zbliżenia  
zasłaniają nam  
strzępy okrutnego  
królestwa pychy  
poszarpanych tkanek  
to z nich  
ulatuje ostatnie tchnienie  
na wyspy szczęśliwe  
a tu  
po ziemi czerwonej od krwi  
idą już tylko  
dwa cienie  
i w mitycznym buncie  
nierzeczywistych spojrzeń  
zapalają słońca  
oczekują niecierpliwie  
na projekcję nowości  
zdmuchując stare  
ledwo tłące się świece

## Andrzej Szmaj

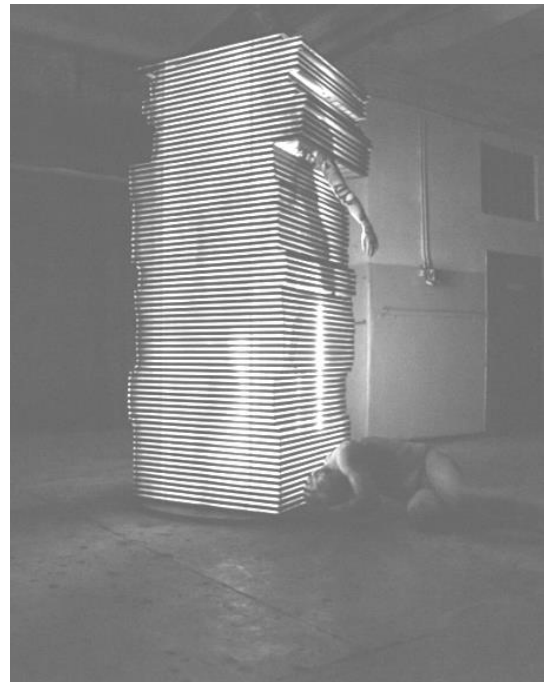
\* \* \*

Zazdrosny jestem, Laponio  
o to, co jeszcze zostało z twojego dziewictwa  
nietknięte lasy bagna rzeki jeziora  
o góry jestem spokojniejszy  
te bronią się same  
Są tacy, którzy cię kochają  
i legion innych  
którzy cię gwałcą i szpecą  
ogałcają wzgórza uciszają rzeki  
chcieliby cię rzucić na kolana i deptać  
jak cały swój świat  
Gdybym tylko mógł  
postawiłbym anioła z mieczem ognistym  
przed każdą lesistą doliną  
każdym cichym jeziorem i huczącym  
wodospadem  
Najchętniej poślubiłbym cię  
wypowiadając te słowa  
że cię nie opuszczę aż do śmierci

## Stanisław Szwarc

### Pszczola

Leżała w zagłębieniu pod oknem tramwaju,  
tyłem do kierunku jazdy.  
Kosmate łapki brązowe bez pyłku  
złożyła bezradnie.  
Wepchnął ją wiatr przypadkowy,  
wciągnął zapach perfum kłamiwy,  
a może po prostu przecięły się tory  
lotu  
i tramwajowe, jedynie słuszne.  
Potem były śmieszne tańce,  
tłuczenie łebkiem o twarde nic,  
pijane loty do kwiatów malowanych na  
sukienkach  
i znów tańce w górę i w dół, zabawne  
na twardym nic.  
Wyprawy po wodę, choćby do kropli potu  
i tańce za światem, który uciekał – to się  
czuło –  
po drugiej stronie twardego nic.  
Tańce do końca.  
Pod oknem.  
Tyłem.  
Żeby nie widzieć.





## Maciej Bobula

### brona

to mogło wydawać się niemożliwe, acz  
stało się –  
brona przebiła człowieka. niby bolesne, a  
natychmiastowe. niby nic, a coś.  
to stało się na wolanach w kotlinie kłodzkiej,  
gdy nikt nie patrzył. gdzieś w oddali ktoś  
malował płot,  
ktoś zakładał lampę światłoczułą. przed i po  
trwała długa, niespieszna cisza,  
na chwilę zakłócona krótkim, metalicznym  
zgrzytnięciem. nikt nie szepnął najmniejszego  
horror. można się było tego  
nie spodziewać. niby mechanizm to pozornie  
prosty: brona spada – człowiek umiera. tak  
oczywiste, a tyle kłopotów. bo i mnóstwo  
wątpliwości  
rozsnutych wokół. czy to jeden z tych  
momentów, gdy  
przedmioty mają dość bezpańskiej reifikacji?  
dlaczego padło  
właśnie na wolany?

nieznana jest odpowiedź.  
nieznane są fakty. wiadomo jedno –  
ci, którzy potem tamtędy szli,  
widzieli tylko uciekające psy.

te psy to my.

### kury rosi deszcz

kury rosi deszcz, kury nie migrują  
ze wsi do miast. nie boją się burzy,  
choć wiedzą, że neoplemiona  
uciekają w kamionkowe kafle.

kury wiedzą, że nasze są nory  
i wilgniemy w nich boso. wiedzą,  
że jest natura i deszcz. ten deszcz,  
co ziemię rosi lśniąca od tłuszczu.

tłuszcz lśni kurami. gdy kury  
nanizane na sznurek śpią,  
dron wtacza macierzanekę  
w ich noclegowisko.

w małych wsiach umiera  
się dość samotnie,  
guz rozrasta się w milczeniu.  
w niskich, poniemieckich domach okna są  
mgliste,  
zaśniedziałe butelki w wypłowiatach  
skrzyniach  
obok rynny noszą światło sprzed dekad .  
ścieżką suną ludzie w poniemieckich ciuchach  
mówią: nie patrz w to miejsce, gdzie słońce,  
zanim dotrze do oka, zachodzi,  
kiedy życie w tobie zrzednie,  
przestaniesz się śmiać.

życie w tobie  
jest za oknem i przybiera w gruz,  
ale teraz patrz w to miejsce  
pod sufitem, w którym święta postać  
wyciąga w twoją stronę dłoń,  
obdarza cię pełnym ciepła  
spojrzeniem, obdarza cię pajęczyną,  
wisi nad dłonią jak aureola.

popatrz,  
w miejscu przy podłodze  
umrzesz, życie w tobie rzędzie  
jak te wersy.  
deski trzeszczą,  
głucho pika serce,  
to miejsce to izba,  
tutaj rośnie  
twój guz.

### biała zima

nie pada śnieg i na wsi  
nic już nie dzieje się  
zupełnie.

jest całkiem białe, tak  
jak niektórzy chcieli, ale  
nie cieszy się nikt

zupełnie.  
w chałupach koło mnie  
kominy mielą dym

„soczewica” mówię  
na głos i sam  
sobie nie dowierzam

---

**Maciej Bobula**, mieszka w Haderslev w Danii,  
pochodzi z Szalejowa Górnego. Laureat  
6. Ogólnopolskiego konkursu na tomik wierszy  
Duży Format, w kategorii „przed debiutem”.  
Nagrodą w konkursie było wydanie książki „Wsie,  
animalia, miscellanea” (Fundacja Duży Format,  
Warszawa 2018).

Anna Andrych

**Rozmowa w Ptasim Raju**

twój papieros  
gaszony na kamieniu  
syk węża -

to tylko ptasi raj  
nie ma żadnego kuszenia  
tym bardziej że zabrakło  
magii

podzieliło nas  
wszystko co było między nami  
i tamta kobieta

nie rzucaj kolejnego kłamstwa  
nie jestem pelikanem

twoje słowa  
zrywa mewa śmieszka  
topi je w Martwej Wiśle

zwracam się ku Wiśle Śmiałej  
po grobli i falochronie  
pójdę  
w stronę morza  
otwartego na wszystkie myśli  
patrzenie na życie

morze słucha i zagłusza  
to co jest złem bólem

ale zanim tam dotrę  
w cudownie rajskim  
ptasim świecie  
obejmij mnie raz jeszcze

chcę poczuć twój  
szorstki dotyk  
zapamiętać  
i mieć pewność

że kiedy się odwrócisz  
nie zadrzą moje usta  
głos ptaka nie załamie się nade mną

Aleksander Talarkiewicz

**Niemy krzyk**

Ona umiera cichutko,  
z każdym świtem dnia  
w ulotnym -  
    spojrzeniu,  
    pocałunku,  
    dotyku,  
jakby nic się nie stało.

Stoimy  
po przeciwnych stronach,  
na krawędzi niemej przestrzeni,  
coraz szerszej, głębszej,  
patrzemy na siebie  
z wyrazem spłoszonego smutku.

Nasza miłość umiera,  
a ludzie przechodzą  
zamknięci szczelnie  
w kokonie swoich  
pozornie wielkich spraw.

Szeptem niemych warg  
krzyczymy-  
nasza miłość umiera...

Bogna Hołyńska

\* \* \*

nagle ptaki wyleciały  
z łona rozciągającego się nad nami  
- jest całe obnażone  
- stwierdziłeś  
a ku niemu wzbija się drzewo  
i nawet ten niewinny kamień jest piersią  
na której leży rozebrana jaszczurka  
tylko ty jedna stoisz z uporem w sukience  
(bo przecież nawet wiatr piasek trawa  
a nade wszystko wiatr jest obnażony)  
i nie chcesz pozować do moich zdjęć  
nie bądź taka wstydliva  
zdejmij już te ubrania

-Przecież urodziłaś się naga  
dodała jaszczurka  
rozebrana na kamieniu

Andrzej Katzenmark

## Tożsamość z Sèvres

Nikt przed sobą nie umknie, choćby skakał najwyżej, kradł najsprytniej, wzbijał się w niebo czy w kosmos albo tropił ślady pradawnych kultur na Księżycu. Ale też nikt nie dopadnie *siebie* w swej głębi, nie osaczy w szuwarach kontemplacji i nie pochwyli krągłego jak jajo *ego*. Czy moje *Ja* jest monadą? I jest, i nie jest, jak można z owych pościgów i ucieczek wnioskować. To rozprężenie naszego *ego*, że użyję takiego określenia dla niestabilności ludzkiego wnętrza, stanowi o egzystencjalnym krajobrazie: o górach i dolinach losu, o fajerwerkach na rynku chwały i w mrocznych zaułkach grozy, o pomnikach ze spiżu i zapomnianych szkieletach, o kryształach prawdy i sadzach obłudy. Do Herbertowskiego zawołania *Bądź wierny Idź* dodałbym *Szukaj siebie w sobie*.

Hume z dużą rezerwą odnosi się do tożsamości osobowej. Przyczyna właściwie wiadoma: nie można dotrzeć do wnętrza *ego*. Cóż to za tożsamość, skoro jeden z jej elementów pozostaje w ukryciu, zdaje się pytać David Hume – autor *Traktatu o naturze ludzkiej. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli* – odpowiada Biblia. Odpowiem mniej wzniosłe. Piękno dociekania tego, co jest, a czego nie widać, jest najwznioślejszym pomnikiem ludzkiej myśli. Nie odbieram, broń Panie, Hume'owi przenikliwości i konsekwencji. Twierdzę, że każde dzieło traci, jeśli ogranicza się do twierdzenia, że sama prawda jest pięknem.

Każdy jest bohaterem przez siebie pisanej i czytanej powieści, w której tworzy swoje życie, a zarazem poszukuje, przeglądając się w zapisanych i w pomyślanych stronicach, wciąż nowe dopisując didaskalia, samodzielnie przewracając kartki. I właśnie owo samodzielne wertowanie księgi życia i własne dopiski niczym przeglądanie się w lustrze dla prawdy lub dla fałszu zakreślają kontur indywidualnej tożsamości. Coś jednak można w sobie zobaczyć. Jak w galerii portretów człowiek bezbłędnie wskazuje siebie, stwierdzając: *Oto mój wizerunek niewprawną mą dłońią nakreślony*. Ponieważ dłoń, którą kieruje ludzki umysł, rzadko osiąga malarską sprawność Prerafaelitów, tożsamościowy obraz jest niewyraźny. Gdyby można było oznaczyć liczbami stopień wyrazistości autoportretu wyciętego z obrazu świata oraz gdyby istniał platynowo – irydowy wzorzec w Sèvres przechowujący tożsamość idealną i będący bezwzględnym odniesieniem dla wzmiankowanej miary, można by wymierzyć drogę życia w jednostkach egzystencji i odpowiedzieć na pytanie, kto żył, kto udawał, że żyje, kto się krył, kto unikał siebie, kto się wcielał w kogoś innego, kto płynął z ideologicznym prądem, kto pod prąd, kto giął karty świata, zrywał pęta, kto się adaptował...

Nie ma w Sèvres takiego wzorca. Nie istnieją jednostki egzystencji. Nie istnieje bezwzględna miara ludzkiej tożsamości. Inność wygięta tożsamościowe linie życia w sposób matematycznie nieokreślony. Nie zdołamy zatem zmierzyć odstępstw i wypaczeń, a tym bardziej nie zdołamy dociec i udowodnić jednej jedynej optymistycznej zasady tożsamości. Ileż przeszkód na drodze? Jak ominąć kłody ociążałej względności? Jakże łatwo przeoczyć, zlekceważyć,

pominąć szczegóły naszej drogi, naszej księgi, naszego obrazu? Szukamy siebie

**PROTOKÓŁ**  
kulturalny  
Nr 67/2018

w świecie, tak daleko od nas samych, że w oddaniu odległej egzystencji zapominamy o sobie. Im częściej i dalej podróżujemy, tym łatwiej i chętniej dopasowujemy się do Prokrustesowego łoża adaptacji, akceptacji siebie innego, nie będącego sobą, tautologicznie skłóconego. Droga zawsze wiedzie z Megary do Aten, daleko od nas samych. Nie zdołamy dorównać herosowi Tezeuszowi. Z czasem jednak przestaje nas cokolwiek uwierać; łożo staje się przytulne i wygodne. Na tym polega *antropometria* Herberta. Bardzo rzadko, ukradkiem, jakby zza węgła, ci, którzy wcześniej nie ulegli magii owego łoża ani nie pomyśleli o nim z tęsknotą lub strachem, mogą usłyszeć wizg pił lub brzęk stalowego uścisku szczęk tensometru oraz przeciągły ludzki lęk.

Nawet sceptycznie nastawiony do metafizyki Kołakowski podkreśla niewidoczną siłę oddziaływania *ego*. *Alter ego jest niedostępne, chronione nieprzeniknionym puklerzem własnej wyjątkowości*. Również Riceour powiada, kierując nasze ścieżki myślenia ku wytworom ludzkiej wyobraźni: *Wbrew tradycji „cogito” oraz wbrew roszczeniu podmiotu, jakoby znał on sam siebie dzięki bezpośredniej intuicji, trzeba stwierdzić, że rozumiemy siebie jedynie odbywając dookólną drogę pośród znaków ludzkości utrwalonych w dziełach kultury („Język, tekst, interpretacja” Warszawa 1989).*

---

*Fragment większej całości pt. „Szkice o cichym sterniku. Pod żaglami siebie samego”.*



Stanisław Romaniuk

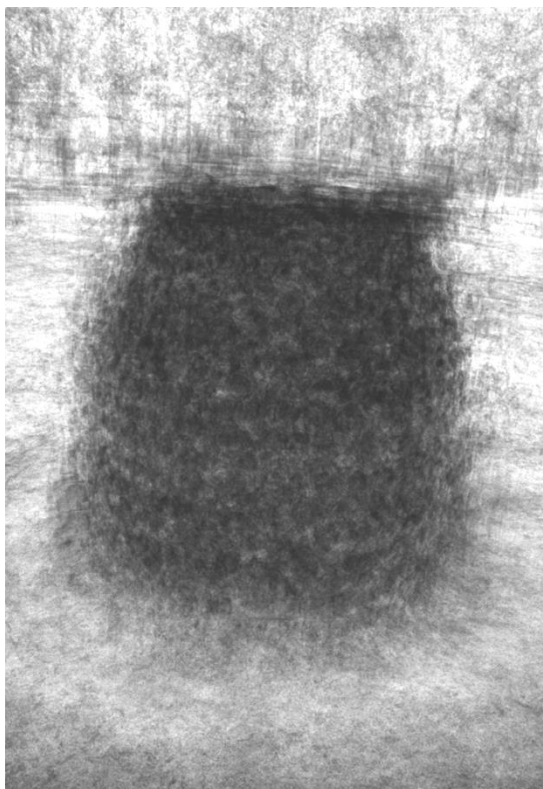
### Pożegnanie

Siedzimy z Kostą na walizkach.  
By czas biegł szybciej,  
gramy w łapki.

Za chwilę  
siostry odkurzą po nas,  
nową pościelą okryją łóżka,  
wywietrzą pokój,  
zamkną rejestr,  
a drzwi wejściowe same się zatrzasną.

To tyle –  
po nas drogi przyjacielu...  
Ślad nasz,  
jedynie w ścianach  
smugą cienia zaśnie.

A na to Kosta,  
macedoński mistyk:  
- Tak, przyjacielu,  
tak dzieje się zawsze!



Liliana Bening

### Chwila

Pewnego razu,  
gdy dzień stawał się...  
powoli otwierałam oczy  
i w zdumieniu rozumiałam to wszystko  
co było dla mnie.

Stanisław Chutkowski

### Zafrasowałeś się

Siedzisz na kamieniu jakby na krześle, nogi bosa jedna obok drugiej, ręce odkryte. Prawą dłonią podparłeś pociągłą twarz, lekko przekrzywioną, wygląda na zafrasowaną i zamyśloną. Lewą dłoń oparłeś o prawą nogę. Zwarłeś usta w milczeniu.

Wybrałeś miejsce na obrzeżach miasta pośród nowobogackich domów, w narożniku pomiędzy dwoma płotami a dróżką i jak skarcone dziecko przykuwasz uwagę swoją osobą. Przecież wiesz, że za tymi ogrodzeniami jest świat salonów, basenów, fontann i posagowych bogiń w marmurach.

Wyciosany z kamienia przez nieznanego rzemieślnika postawiłeś się tam ze swoją zatroskaną twarzą. Dlaczego i po co? Co chcesz osiągnąć, będąc w tym skromnym zakątku przy piaszczystej drodze, w otoczeniu dzikich traw, polnych kwiatów i zielonych drzew.

Zamyślam się, kiedy patrzę na Twój wizerunek i to miejsce.

Przypadek, zrządzenie losu, a może chciałeś, żebym tu przyszedł. Sprawiasz, że wędrując przez życie spotykamy Ciebie jako drogowskaz ludzkiej skromności i duchowej czystości. Swój frasunkiem prowokujesz do zatrzymania się na chwilę. Dobrze, że Cię odnalazłem.

## Zygmunt Dekiert

### **Powrócisz pogodna**

Gdy świat deszczem się wyplacze,  
wiatru porywy pójdą w zapomnienie,  
spojrzę na Ciebie zupełnie inaczej,  
inaczej odczytam ciała Twego drżenie.

Powrócą myśli przebogate słońcem  
subtelnie zdobione ornamentem ciszy.  
Szepty popłyną wyznaniem gorące.  
Tylko Ty je usłyszysz.  
- Nikt inny nie usłyszysz.

## Krystyna Wojciech-Ratajczak

### **Przedwiośnie**

W błękitnej nawie  
Zieleń sosny rozkwitła  
Smaragdem odbija się w Twoich oczach  
Cisza, taka rzadka przypadłość  
Słysząc pęknięcie szyszek  
Na palczastej dłoni gałązki  
Odcisnął ślad Mazurek  
Rozsiewa tu i ówdzie nasiona  
W prześwicie znów  
Ta tafla ultramaryny  
I trzepot skrzydełek  
Cytrynowa żółć motyla  
Spływa żółtkiem  
Na ciepły dywan mchu

## Józef Zdunek

### **smutna radość**

chodzi radość po niebie  
rozmawia z gwiazdami  
planetom się kłania  
lamentuje i płacze  
chce wrócić na Ziemię  
do ludzi  
ale nie może

na Ziemi same nieszczęścia  
dla radości nie ma miejsca

## Stanisław Neumert

### **Lustra**

W lustrach wierszy  
słowa  
w wykwintnych szatach  
piękno ukrywają w sobie  
sprawiając że wiersz  
staje się pieśnią  
rozlegającą się  
w sercu  
- pełnym sklepień  
chleba naszego powszedniego  
i drzwi otwartych  
by mówić domem.  
Gdzie słońce  
po pachy w cumulusach  
w widnokręgach oniemiałych  
wśród gałęzi  
z wiatru  
pływie

## Grażyna Kiełńska

### **teologia opatrności**

każdy nosi w sobie ziarno  
pestkę spokoju  
twardość mojej ma  
możliwość wędrujących początków  
niesionych nie zawsze tylko wiatrem  
czasami przenoszonych  
ręką Boga  
możliwość ziarna  
i  
cienie które stanowią obietnicę  
jak idee  
które kładziesz na kolorowym piasku

## Danuta Ewa Dachtera

### **Zakup w Tesco**

Warto przeżyć wszystko  
w zgodzie z sobą.  
Nawet wtedy,  
gdy prawie nikt  
o nas nie wie.  
Nawet,  
gdy wycenią nas  
na wartość kawałka sera.  
Nawet, jeśli wartość poezji jest  
pomysłem poetów.

Stanisław Chutkowski

## O dźganiu książki Andrzeja Górnegu „Idź, tam gdzie jesteś”

Pisząc recenzję powieści Andrzeja Górnegu „Idź, tam gdzie jesteś”, (vide „Akant” nr 2/2018 r.) Barbara Kęcińska-Lempka wyznaje, że nie może jej udźgać. W odbiorze i ocenie książki różnimy się zasadniczo. Fabuła osadzona jest w okresie, kiedy w Polsce trwała solidarnościowa rewolucja, kiedy to młodzi gniewni odbierali komunistom władzę, a cały kraj wybuchnął wolnością, ogarnięty politycznym zwrotem.

Właśnie w tym czasie autor umieszcza trójkę swoich bohaterów Alka, Irkę i Dankę, którzy boją się, a może nie chcą lub nie rozumieją nadchodzących przemian. Główny bohater Alek pracuje jako redaktor, natomiast Irka jest zatrudniona w dziale łączności z czytelnikami, w tej samej partyjnej gazecie. Danka, młoda studentka, będąca przyjaciółką Irki podkochuje się w Alku i ciągle szuka wrażeń. Wszyscy mieszkają u Irki i tworzą jedną paczkę. Alek, aby nabrać dystansu i oddalić w czasie decyzję o swojej przyszłości, postanawia wyjechać do Niemiec, Francji i Hiszpanii. Zabiera ze sobą Dankę, a we Francji dołącza do nich Irka. Cała trójka prowadzi swobodny tryb życia, miłość, zdrada i zauroczenie są normą. Z dialogów, jakie nieustannie prowadzą ze sobą, dowiadujemy się o charakterach, zainteresowaniach i postrzeganiu siebie w przyszłości.

Według mnie był to podstawowy zamiar autora, który chciał pokazać grupę młodych ludzi, poukładanych w ustępującym systemie władzy, ludzi którzy znaleźli się na krawędzi przemian. Pisząc recenzję (vide „Protokół Kulturalny” nr 63/2017 r.), całą uwagę skupiłem na osobowości bohaterów, ich dorastaniu do dorosłości, na podejmowaniu decyzji za siebie i innych. Interesowały mnie wewnętrzne zmagania Alka z samym sobą. Dla niego kończy się dotychczasowy świat, a nie ma jeszcze sprecyzowanych poglądów na przyszłość.

Zupełnie inaczej odniosła się do oceny książki i jej bohaterów Barbara Kęcińska – Lempka. Rozumiem ją, wiem, że w tamtych czasach była znaną, zaangażowaną dziennikarką – opozycjonistką. Być może stąd wypływa ostrość, z jaką przedstawiła bohaterów w swojej recenzji. Zarzuca między innymi autorowi, że dialogi Alka z aparatczykami władzy są zbyt płytkie, a przez to książka traci autentyczność. W tej kwestii popieram jej sąd, o tym pisałem w recenzji.

Twierdzenie, że Alek to konformista i hipokryta płynący z prądem, potrafiący ustawić się z korzyścią dla siebie, jest prawdą, tyle tylko, że autor przedstawiając tę grupę ludzi, wskazał, że w okresie komunizmu wielu młodych (i nie tylko) ulegało totalitarnej władzy dla własnych profitów. Nie rozumiem także, dlaczego tak negatywnie odniosła się Barbara Kęcińska-Lempka do wątków towarzysko – obyczajowych całej trójki. Odwieczny

problem negacji grzechów młodości przez starszych, jakby to nas nie dotyczyło... Tak po ludzku, to Alek nie jest wyzuty z norm obyczajowych, świadczą o tym końcowe fragmenty książki i podjęte przez niego decyzje, mam na myśli dialogi całej trójki na hiszpańskiej plaży.

Nie dziwię się autorowi, że dźganie boli, a tym bardziej zarzut o mierności książki. Andrzej Górny, pisząc tę powieść, poruszył wiele problemów społeczno – obyczajowych, szczególnie ludzi młodych, którzy w okresie burzliwych przemian potrzebowali więcej czasu, aby się wyleczyć z przeszłości i odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Czy się wyleczyli, autor zostawia ten problem czytelnikowi bez odpowiedzi...

Jacek Juszczyk

## Pani Danuto;

Tom Pani wierszy zatytułowany „Moje Macondo” w nawiązaniu do krainy ze słynnej powieści - zawiera podstawowe pytanie, z rodzaju tych *quasi-retorycznych*, zapisane w wierszu „Zakup w Tesco”: *Nawet, jeśli wartość poezji jest / Pomysłem poetów*, a zaczynającym się od słów *Warto przeżyć wszystko / W zgodzie z sobą*, kontynuowane w utworze „Nieobojętność”: *Być sobą bezcenne ...* W tych trzech cytatach jest potencjalne i fałszywe zaprzeczenie wartości literatury (nie piszę się niczego tylko dla poetów, traktujemy więc to podejrzenie o zasadność osądu, jako stwierdzenie prawdziwie retoryczne). Natomiast wersy rozpoczynające utwór i te z innego wiersza, wyżej cytowane, są prawdziwe do bólu, pomimo ich banalności. Tej myśli przewodniej odwiecznie przewijającej się przez wypowiedzi z różnych poziomów refleksji na temat życia. Poezja nie stroni przecież od banalizacji, lecz nazywa rzeczy zwykłe i powtarzane inaczej, nawet przez zaskakujące zaprzeczenie z wiersza „Szczęście”: *O szczęściu się nie pisze. / Szczęście się ma (...)* *Cóż ja mogę (...)* *Miłość*. Pani pisze o marzeniu, o tym szczęściu migotliwego poczucia jego uzyskania i nieustannej groźbie utraty. Na drodze do tego stanu w Pani przeżywaniu dochodzenia do spełnienia są porażki, ponieważ, jak Pani to określa („Życie na polu minowym”) - *Skąd brać siły ? / Wieczna woda jest zmęczona*. Pani wiersze starają się oddawać poczucie zdystansowania do świata, co jest nieosiągalne w Pani wrażliwych frazach, bo przecież („Nulla dies sine Linea”). *Tańczysz życie, / Myłąc rytm. / Jak zawsze*. Co jak zawsze? Pyta czytelnik i odnajduje szczątkowe odpowiedzi, jak fragmenty ze starych rękopisów znalezionych w grocie cudzej pamięci, czyli w Pani pamięci przybierającej formę poetycką. W niektórych frazach czuje się wyczuwalne drżenie o możliwość spełnienia posłannictwa sobie samej „zadanego”: *Mówisz: napisz o tym. / Myślę, lecz po co? (...)* *Jak to opisać? / Co z tym zrobić?* Do tych wahań dochodzi niepewność zasadności podejmowanych wyborów, tych nieodwracalnie *dokonanych* („Odchodząc”): *Gdy wreszcie to zrobisz, (...)* *Otworzą się drzwi / i może odetchniesz szeroką pierśią, / żalując tego, co pogrzebałaś*.

List do Pani Danuty Ewy Dachtery – poetki – z okazji Jej wieczoru autorskiego.

## Poezja kwantowa

W Bułgarii, w Płowdiw, od 2015 roku odbywają się Międzynarodowe Festiwale Poezji „Duchowość bez granic”. Inicjatorką tych festiwali jest bułgarska poetka Rozalia Aleksandrowa. Według niej uczestników festiwali łączy miłość. Poeta Peter Dynow mówi: „Jeśli szukasz miłości, jesteś miłością... Jesteś tym, czego szukasz”. Festiwale w pierwszych latach wspierał Uniwersytet Medyczny w Płowdiw z prof. Iwanem Dechewem i pozarządowa organizacja „Kwant i Przyjaciele” pod kierunkiem Rozalii Aleksandrowej. Festiwalom towarzyszyły książki poetyckie. Jedną z pierwszych było tłumaczenie Rozalii Aleksandrowej wierszy Aleksego Wróbla z Londynu „Pojęcie pion”. Ukazały się również w jej tłumaczeniu i Teresy Moszczyńskiej-Lazarowej wiersze dwunastu poetów z Bułgarii i Polski „Marzenie ważki”. W tym samym okresie w Londynie wydano tomiki z poezją bułgarską: „Bułgarska poezja kwantowa”, dwukrotnie „Wiersze wybrane” Rozalii Aleksandrowej i „Nasi bułgarscy przyjaciele”. Poeci bułgarscy wraz z Rozalią Aleksandrową w 2017 roku uczestniczyli w Festiwalu Poezji Słowiańskiej w Czechowicach-Dziedzicach. Wiersze uczestników tego festiwalu zostały opublikowane w Polsce w „Poezji Dzisiaj”.

Rozalia Aleksandrowa tworzy wiersze kwantowe. Poezję tę tak nazwał jej ojciec chrzestny inż. Dimitar Dimitrow z Płowdiw. Pierwszy klub literacki w Bułgarii związany z poezją kwantową został powołany 28 marca 2006 roku. Organizacja „Kwant i Przyjaciele”, której przewodniczy Rozalia Aleksandrowa chce rozwijać i propagować poezję kwantową w społeczeństwie obywatelskim. Poezja kwantowa według Rozalii Aleksandrowej to dowolna nazwa Poezji Ducha. Opiera się ona na zapisaniu wiersza zaraz po tym, jak przyjdzie natchnienie, bez żadnych późniejszych zmian. Twórczyni tej poezji pisze: „jeśli nie postawiło się przecinka, oznacza to, że nie powinno go tam być, nawet jeśli gramatyka mówi inaczej. Gdy wiersz przychodzi do głowy, jesteśmy w konkretnym stanie, nie można nic zmienić, bo wiersz zależny jest od tego stanu”. W związku z powyższymi zasadami „nie można przetłumaczyć takiego wiersza, bo tłumacz nigdy nie będzie w takim stanie jak poeta w chwili pisania”. Chciałbym przedstawić dwa takie wiersze, które zostały przetłumaczone przez autorkę na język polski.

---

*Rozalia Aleksandrowa autorka tworząca poezję kwantową urodziła się w Madanie w obwodzie Smolanskim w 1954 roku. Absolwentka filologii polskiej i bułgarskiej na uniwersytecie w Sofii. Zajmuje się tłumaczeniami na język polski i rosyjski. Jest wykładowcą języka bułgarskiego dla studentów z zagranicy na Uniwersytecie Medycznym w Płowdiw. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy w Płowdiw oraz przewodniczącą organizacji pozarządowej „Kwant i Przyjaciele” Wydała dziesięć książek poetyckich.*

*W tekście wykorzystano materiały organizatora Międzynarodowego Festiwalu Poezji „Duchowość bez granic” z 2018 roku.*

## Rozalia Aleksandrowa

### DARUJĘ CI

hojność czasu.  
 Aby odpłynąć w ocean.  
 I w soczysty świt słów.  
 I cichy zachód słońca w Hassanie.  
 Po którym podążam za twą duszą.  
 Przez który biegnę do Wzgórza.  
 I ciernie, a piasek spłukuje.  
 Nie zatrzymuję się  
 w drodze do stramy.  
 Wieniec mojego czuwania  
 jest twoją pogodną pieśczęcią.  
 I każde jasne przejrzenie  
 jest  
 darem  
 z niebiańskiego pocałunku.

### ZAMIAST NIEBA

widzę twoje oczy.  
 Pieśczęoty.  
 I miły  
 horyzont.  
 Niebiesko-zielone  
 reflektory pluskają.  
 Moją istotę.  
 I jęk.  
 Tak,  
 jakby przyszły  
 z konstelacji  
 prawdy.  
 Stado  
 musujących  
 fal.  
 Dary  
 rzucają.  
 I zwracają  
 przeczyszczone.  
 Dwie  
 odrodzone  
 dusze.

---

*Wiersze na język polski przetłumaczyła autorka*

## **Desant z Junikowa na XII Młode Pióra w „Dąbrowce”**

Niezwykłą prezentacją obdarzyła XII Młode Pióra Agnieszka Mąkinia (poetka, autorka książek (m.in. „Przestworza słów”), znana tancerka zumbi), z którą przyjechał do „Dąbrowki” 12-letni Tomasz Balcerkiewicz (w asyście rodziców), uczeń Szkoły Podstawowej nr 54 na Junikowie (polonistka Małgorzata Wołoszyn). Tomek pracujący pod opieką Agnieszki Mąkini zadziwił wszechstronnością swych talentów. Pisze wiersze, prozę, prace krytycznoliterackie, na swym blogu (międzynamiczytelnikami) recenzje literatury fantasy i młodzieżowej, publikuje haiku. Został wyróżniony w konkursach literackich w Poznaniu i Słupsku. Oto pełna dystansu opowieść młodego twórcy, pt. „Słowa”.

*O czym piszesz? – głos doradczynie zawodowej wydawał się zupełnie pozbawiony emocji. Prawdopodobnie kobieta po prostu powtórzyła formułkę ze znanego sobie na pamięć folderu. A siedząca przed nią dziewczyna nie miała jej tego właściwie za złe. Pewnie sama byłaby już znudzona, niemającym końca potokiem uczniów, z którymi trzeba by było porozmawiać tylko po to by odhaczyć punkty w formularzu i mieć problem z głowy.*

*Nie zamierzała jednak odpowiadać na to pytanie, ponieważ wydawało się jej ono najbardziej bezsensownym, jakie można zadać. Nie wiedziała czemu. Zwyczajnie wydawało się ono niewłaściwe, może odrobinę krzywdzące, a na pewno nie było na nie odpowiedzi. Zawsze wiedziała, że jeśli zamierza cokolwiek osiągnąć, to wcześniej czy później i tak usłyszy te trzy konkretne słowa. Starła się na nie przygotować, a teraz, gdy w końcu padły, potrafiła myśleć jedynie o tym jak niewiele w nich sensu. Mimo to miała gotową odpowiedź. Ciężko jej było to przyznać przed samą sobą, ale faktycznie tak było. Tyle, że nadal nie sprawiało to, że chciałyby tej odpowiedzi użyć. To był pewnego rodzaju skarb, zakopany w najgłębszych zakamarkach umysłu, do którego sięgała jedynie w ostateczności, gdy szukała pokrzepienia, albo zapominała, czemu to wszystko robi. Uzewnętrznienie tych kilkunastu słów, było dla niej jeszcze bardziej niewłaściwe, niż pytanie, na które były one odpowiedzią. Dlatego zamiast pisać choćby jedno krótkie zdanie, spojrziała przez okno na spowity rzednącą mgłą jesienny krajobraz.*

*Okno sporego gabinetu doradczynie zawodowej wychodziło na otaczające całe miasto pastwiska pełne łaciących krów, które nie zwracając uwagi na gryzący chłód spacerowały od jednej krawędzi płotu do drugiej, co pewien czas zatrzymując się i podgryzając pokrytą szronem trawę. Cały obraz sprawiał włożenie sielskiego, nawet mimo bieli, która pokrywała cały świat aż po horyzont i była jedynie miejscami poprzetykana odcieniami szarości. Na pastwisko co chwilę wbiegało parę osób, by wyprowadzić z niego pojedyncze krowy do cieplej obory, która już na nie*

*czekała, oferując wygodne schronienie i obietnicę stosów pożywnej paszy.*

*Dziewczynę z nieznanego jej samej powodu zafascynowała ta sielska scena, nijak niekojarząca się z czymkolwiek pięknym. Dłonie same wydawały się wędrować do przewieszanej przez ramię torby. Palce drżącym ruchem zacisnęły się na małym notesie i wyciągnęły go na biurko przed nią. Doradczynie zawodowa nie wydawała się zaskoczona, choć jej myśli były trudne do odczytania zza zasłony zaciemnianych okularów, które kobieta właśnie poprawiała na nosie. Nie przejmując się jej opinią, dziewczyna wyjęła z tylnej kieszeni dzinsowych spodni mały długopis i zaczęła mazać nim po karteczkach, wypełniając kolejne z nich drobnym pismem. Ale dla niej te rzędy liter nie były tylko prostą informacją, krył się bowiem w nich cały świat, który z każdą kroplą tuszu rozszerzał się do granic nieskończoności, powiększany od drobne elementy, o kubek ciepłego mleka na ganku, o pasące się w mrozie krowy i o całe historie zakłute w kawałku papieru. Gdy skończyła, jakby nigdy nic schowała notes z powrotem do otwartej torby, a potem zupełnie zapomniawszy, co robi w gabinecie doradczynie zawodowej, otworzyła usta i spytała:*

*- To, o czym mówiłyśmy?*

Michał Ambrożkiewicz zaprezentował twórczość poetycką, niełatwą, ale naznaczoną wyobraźnią.

**julia sz**

*byliśmy dach w dach,  
przepaść w przepaść.*

*łączyło nas złudzenie  
ramię w ramię*

*nieskończenie wielkiego  
nieskończenie małego.*

Żyją dyskusję na temat rymowania wzbudziły wiersze Marty Grygorowicz. Młoda poetka jest absolwentką filologii angielskiej z filologią romańską (UAM). Urodzona w roku 1990. Mieszka w Poznaniu. Interesuje się językami obcymi, literaturą, sportem, muzyką francuską. Pięknie buduje klimaty, nastroje tekstów. Szczególnie podobał się wiersz o ptaku – kapturce (pokrzewka czarnołbista). W rozmowie o prezentowanych tekstach wzięli udział m. in. Danuta Dachtera, Zygmunt Dekiert, Marek Słomiak, Jolanta Szwarz, Stanisław Szwarz, Anna Landzwojczak – starsi stażem twórcy, autorzy książek, członkowie Klubu Literackiego „Dąbrowka”.

Jako wszechstronny, młody twórca zaprezentował się student Mikołaj Konkiewicz (I rok studiów magisterskich II stopnia na kierunku fotografia na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu). W swojej fotograficznej twórczości próbuje zgłębiać takie zagadnienia, jak miejsce człowieka we wszechświecie, przenikanie się różnych warstw rzeczywistości, względność percepcji i komunikacji. Inspiracje czerpie również ze świata nauki, tworząc dzięki temu alternatywne teorie i umiejscawiając swe prace w kontekście wyimaginowanych przeszłych i przyszłych wydarzeń.





Anna Landzówczak

## Było polonistów wielu...

Kto wie, kim byłabym dzisiaj, gdybym na drodze edukacji w zakresie języka ojczystego spotkała Zofię...

We wczesnej podstawówce, czyli „jeden-trzy” ale również „cztery”, języka polskiego uczyła mnie pani Jadwiga. W latach, w których dane mi było wypełniać szkolne obowiązki, pisało się piórem z wymienną stalówką. Owo pióro maczało się w kałamarzu z atramentem dość podłej jakości, jak niemal wszystko w tym czasie. A i pióro nie pochodziło z tych skrzydeł, co wznoszą się najwyżej. Ot, kawałek plastiku w kształcie stożka o małej średnicy podstawy w stosunku do wysokości. Wkładało się w tę podstawę, w wyżłobiony w niej rowek, stalówkę, oczywiście ze stali. Stalówki nieco różniły się kształtem, najlepsze były te „z krzyżykiem”. Zeszły do języka polskiego obowiązkowo w linie, w tych wczesnych latach linie podwójne, specjalnie do pisania małych i wielkich liter, posiadały bibuły, za pomocą których osuszało się zapisany tekst. W drugiej klasie uczeń wyróżniający się starannym piórem miał prawo wcześniej niż inni pisać „piórem wiecznym”. Wieczne pióro było wieczne tylko przez ten czas, gdy zbiorniczek z atramentem był napełniony. Miałam pióro wyjątkowe, inne niż powszechnie używane, chińskie. Ojciec zakupił je w Poznaniu, w specjalistycznym sklepie na ulicy Dąbrowskiego, dziś Jana Henryka. Zielono-szare w dość archaicznym kształcie, ale za to z bardzo dobrą stalówką. No i pisało się, pisało... Przepisywało się z tablicy w szkole, pisało się dyktanda „ze słuchu” i „z pamięci”, pisało się w domu...

Pani Jadwidze, mojej pierwszej nauczycielce, zawdzięczam coś, co nazwałabym słuchem ortograficznym. Ponieważ pochodziła ze Wschodu miała nieco charakterystycznych naleciałości w mowie. Podczas tzw. dyktand słyszałam wyraźnie różnicę między „h” i „ch” oraz „ż” i „rz”. Na ogół jestem wzrokowcem, a tu taka słuchowa umiejętność. Poza pisaniem ze słuchu odbywały się również „pisanie z pamięci”. Nowoczesna tysiąclatka (byłam w gronie uczniów, którzy rozpoczęli naukę w niej jako pierwsi!) wyposażona była w niemniej nowoczesne tablice - dwuczęściowe, przesuwane w górę i w dół. Dawało to możliwość napisania części tekstu, a następnie schowania go za drugą częścią tablicy. Taki ręczny komputer.

Dalsza moja edukacja polonistyczna prowadzona była przez panią Władzię, wicedyrektor szkoły. Była historyczką, języka polskiego uczyła chyba tylko w mojej klasie. I to nauczanie było po prostu poprawne, nie zrobiło nikomu większej szkody, ale też pożytek był niewielki. Z panią Władzię dobrnęłam do końca podstawówki.

Potem liceum, w owym czasie porządny, dobry „ogólniak”, z murów którego wyfrunęło w świat wiele znakomitych postaci. Klasa mat-fiz nie była wyborem ze względu na zamiłowania, które były dość różnorodne w tym czasie. Lubiłam czytać, choć niekoniecznie lektury, lubiłam pisać, choć raczej nie pamiętniki. Czytałam poezję,

pisałam wiersze, oczywiście „do szuflady”. Ale też lubiłam chemię, matematykę, logiczne rozumowanie i wynikanie. Klasa mat-fiz była klasą dla najlepszych, wybranych. Jakże mogłam się nie znaleźć w tym gronie?

Piach, Żwirek, czy jak go tam jeszcze nazywaliśmy, machał dłonią zrezygnowany, gdy zebrało mu się na wynurzenia. Chciał być biologiem, ale mu się nie udało. Nie udało mu się również zostać polonistą, pomimo skończonych w tym kierunku studiów. Zmarnował nam, przyszłym inżynierom, ekonomistom, lekarzom, dwa lata na jałowe dyskusje, wyuczone wnioski i pobieżną znajomość literatury. Przez moje kolejne dwa lata edukacji licealnej przewinęło się troje polonistów. Pierwszy, postrach szkoły, ale wreszcie polonista co się zowie, niestety, zbyt krótko, ledwie pół roku nauczał w „trzeciej a”. Potem pani, która zupełnie nie wrosła mi w pamięć. W maturalnej klasie wreszcie jakaś polonistka przez duże P. Mogłam się wykazać, pisałam niezłe wypracowania, odzywałam się z sensem, niestety wszystko zbyt rzadko, bo pani na ogół była na zwolnieniu lekarskim...

I to koniec mojej polonistycznej edukacji, gdyż studia techniczne nie kształcą w tym zakresie.

A gdybym tak trafiła pod Zosine skrzydła... Gdybym usłyszała jej głos, modulowany tak, że nie sposób przysnąć. Gdybym mogła wówczas zachwycić się jej wiedzą, chcieć z tej wiedzy korzystać, więcej i więcej. Poczucie na plecach jej karcące spojrzenie: to nie tak, spróbuj jeszcze raz! Przeczytaj tak, jak masz napisane! Może pokazałabym jej swoje wiersze?

A idąc dalej w tym „gdybaniu”, może nie powiedziałyby o nich niczego dobrego. Przecież wiem, że były słabe, dziś to wiem. Zofia nie owijałaby w bawełnę. A młody człowiek, szczególnie młody poeta, to istota niezwykle mało odporna na krytykę. Mogłoby się zdarzyć, że rzuciłabym wysłużone zeszyty do pieca i nigdy już nie wróciła do wierszopisania.

A jakaż by to była strata dla świata literatury!

## Brygida Mielcarek

### Istnienie

Cześć oddaję światu całemu  
ziemi – ludziom – słońcu  
Bym mogła się wznosić wbrew prawu  
strącania  
Bym chmurom gradowym się oparła

Jeśli nie potrafię zrozumieć czegoś  
nie jest – to moja wina  
Im więcej myślę – tym mniej mówię  
mając do powiedzenia tak niewiele

Obudź mnie słowem – gdy cała jestem  
tęsknotą  
Ożyw mnie – gdy staram się istnieć każdego  
dnia

Jerzy Ł. Kaczmarek

### Drugi brzeg

*Gdyby to było proste – wytrwać aż po kres,  
którego nie sposób przyjąć za odpowiedź.  
Teresa Tomsia*

Jest noc. Lato nabrzmiałe zapachami.  
Cytryna gnije na stole. Świat wypada spod  
powiek.

Kiedyś to już było. Pozostaje więc nazywanie  
tego samego na nowo. Pociąg, który odjeżdża  
tyle lat. Jego gwizd budzi mnie ze snu.

Kiedyś to już było. Otwieram oczy. Nie  
rozpoznaję  
tego miejsca, siebie, uciekającej z czyjegoś  
ciała  
kołdry. Głowa opada na poduszkę. Zostaje  
lepiący  
się do skóry żar, mrok przyklejony do  
samotnych  
ścian. Połykam haczyk snu. Wyłowi mnie nad  
ranem

ten drugi brzeg.

### Odpowiedź

Ścigałem Tajemnicę  
na krańcach świata.  
Mojego świata. Mojej  
drogi, która prowadziła  
do innej drogi. Które się  
łączyły, dzieliły albo zamykały.

Ścigałem pytania. Odpowiedzi  
nie przychodziły. Albo nie  
mogłem ich zrozumieć.

Ścigałem Tajemnicę na  
krańcach, a ona była tutaj,  
o krok. Pomiędzy tobą  
a mną. Pomiędzy jedną  
ścieżką a drugą, na kruchym  
liściu, który opadał nocą.  
Bezszelestnie w bezwietrzną  
ciemność.

---

*Wiersze z tomiku „Niewidzialny stygmat” –  
w przygotowaniu do wydania w Bibliotece  
„Toposu”.*

Mikołaj Konkiewicz

### Arena Rashkinda

serce ściśnięte w klatce żeber  
żyjące pod rygiem łapania oddechów  
nie martw się to polowanie nie potrwa  
wiecznie  
zresztą na razie ofiarom nic nie grozi  
wybredny łowca wszystkie wypuszcza  
serce walące w kraty  
lub zamierające niemal w bezruchu  
możesz być kanarkiem w kopalni  
lub cyrkowym dziwadłem w splocie spojrzeń  
szukać własnej drogi bycia jak wszyscy  
serce w przedsiönku areny  
prowadzone na smyczy aorty  
czas na akrobacje na trapie żył  
spacer po linie

### Modlitwa

zakładka w modlitewniku odłożonym na  
nocnej szafce  
niedokończona sprawa pomiędzy  
początkiem historii a końcem martwego  
języka  
kierunek pielgrzymki wyznaczony pustym  
kamieniem  
nieustająca droga krzyżowa  
rejs wzdłuż nieczytelnych brzegów  
nieczytanych ksiąg  
sprawy rodzinne jak tajemnice różańca  
przemilczane grzechy głośną modlitwą  
meander litanii okalający bezdech

### Sprint

co za różnica ile zostało czasu  
skoro biegnie tak szybko że go nie widać  
jedni go nie liczą  
lub jest nieobliczalny  
a liczą się z tym  
że policzy się z każdym

## Mikołaj Konkiewicz

### Artist Statement

Analizując własną twórczość, zauważyłem, że odbywam wraz z nią podróż w przeszłość. Ma to miejsce nie tylko za sprawą skończonej prędkości światła, która wymusza przeszły charakter percypowania (co szczególnie ujawnia się w fotografii), ale również odbywa się to w kontekście poruszanych przeze mnie zagadnień i podejmowanych realizacji.

W mojej twórczości przejawia się silna fascynacja przestrzenią kosmiczną i ogólnie pojętą kosmologią. Odnosi się to również do zainteresowania istnieniem życia na innych planetach, jego charakterystyki, a także możliwości nawiązania kontaktu. Punktem wyjścia dla tych poszukiwań była refleksja nad tym, jak przebiegała historia wszechświata i w jakim kierunku mogła podążać. Mimowolnie pojawia się tu zagadnienie ewolucji gwiazd i układów planetarnych.

Podążając dalej wraz z postępującym czasem, aż do momentu, gdy mogę nacisnąć spust migawki lub napisać kolejną literę, na poszczególnych planetach zaczynają rozkwitać ekosystemy. Specyfika wszechświata rodzi problemy, które ograniczają możliwości poznania innych „biosfer” i jednocześnie sprzyjają tworzeniu niekiedy romantycznych wizji.

W pewnym momencie zwróciłem jednak szczególną uwagę na (jak na razie) jedyną tak łatwo dostępną i „świetnie zachowaną” próbę badawczą, jaką jest życie na Ziemi. Ewolucja biologiczna stanowi konsekwencję historii życia gwiazd, która to jest uzależniona od mikrokosmosu, stąd w naturalny sposób moje poszukiwania artystyczne skupiają się na tych zagadnieniach, czego dobrym przykładem jest przejście od pojęcia widzialnego wszechświata do *umwelt*.

Każda istota znajduje się w środku swojej sfery rozciągającej się na miliardy lat świetlnych, zawieszona pomiędzy dwoma krańcami wieczności. Moja twórczość stanowi próbę spojrzenia na nią z boku, a także zastanowienia się, jakby wyglądał jej inny wariant.

---

**Mikołaj Konkiewicz** (ur. 11.01.1991 roku w Poznaniu) – lata szkolne spędził w małej miejscowości Strzelno (Kujawsko-Pomorskie), w której to rozpoczął swoje pierwsze działania twórcze, tworząc teksty i rapując. Był członkiem duetu hip hopowego PJWNR i zespołu rapcorowego FonoFuzja, z którymi nagrał kilka amatorskich albumów i demówek. W okresie studiów na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu współpracował z producentem Kensee, z którym zrealizował album jako Ambasada. W międzyczasie zainteresował się fotografią, w konsekwencji czego postanowił rozpocząć studia na kierunku fotografia na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. Obecnie jest na V roku studiów magisterskich – w czerwcu 2019 roku planuje obronę dyplomu. W 2017 roku za namową żony spróbował swoich sił w poezji. Początkowe nieśmiałe próby przerodziły się w dłuższą fascynację, trwającą do chwili obecnej. Pod koniec bieżącego roku planuje opublikowanie debiutanckiego tomu poezji

zatytułowanego „Dystans ucieczki”. Jest m.in. laureatem XVIII Ogólnopolskiego Konkursu Fotografii Studenckiej, 38 Ogólnopolskiego Konkursu Poezji im. Haliny Poświatowskiej i Wielkopolska Press Photo 2018. Zdjęcia prezentował na wystawach organizowanych w ramach 9 Biennale Fotografii w Poznaniu, Noorderlicht Photography Festival czy w projekcie Przestrzenie Ziemi w Wielichowie. Jego wiersze były publikowane m.in. w „Protokole Kulturalnym” i Magazynie „Wizje”. W numerze wykorzystano fotografie Mikołaja Konkiewicza.

## Katarzyna Michalewska

### Ułamki

Żyję dniem dzisiejszym...ostatecznym.

Szlak w nieznaną, czy droga donikąd - nie wiesz, dopóki cię nie zaprowadzi.

Kos synkopuje z deszczem.

Wszystkie dowody miłości - poszlaki.

Czułość rozpostartych ramion horyzontu.

O świcie deszcz stracił moc, usnęła trawa.

Rano zmięte gazety czytane przez deszcz...

Anioły latają, bo biorą siebie lekko.

Zostańmy dobrymi nieznanymi.

Uzbrojeni w rozejmy z sobą, przeciw sobie, piszemy historie i snujemy wątki.

Dopiero po czasie okaże się, że wszystkie te ułomne ułamki idealnie pasowały do układanki życia.

Idąc na śniegu zapisuję siebie. Słowa służą mi do zanikania...

Dziewczyna w pomarańczowej sukience wychodząca z bramy – poranny jaskier.